

O przełęczy, przepaści i bramie

Jakżeby zacząć inaczej niż na przełęczy, na tej przełęczy z książki Stanisława Witkiewicza? Opis wejścia na nią – oparty na faktach i literacko przefiltrowany – od wieku czytany jest jako metafora odkrywania Tatr. Cała grupa „ponów” i ich góralskich przewodników staje na Mięguszwieckiej Przełęczy pod Chłopkiem, dotarłszy na nią od południa. Przed nimi zejście wąską skalną półką do Czarnego Stawu i dalej do Morskiego Oka. O tym momencie mówi się jako o olśnieniu, otwarciu na coś wspaniałego, ujrzeniu tej „ziemi czarów” (słowa L.W. Anczyca) jaką są Tatry. Jest też euforia zdobywców, smak bycia wysoko w górach, wśród skał, sam na sam z naturą. Ale czy wszyscy członkowie tej wyprawy tak to odczuwają? Czy wszystkim dany jest zachwyt z lekkim dreszczykiem emocji? Co z uczestnikiem, który zamiast czarów widzi przepaść, pułapkę, z której nie ma odwrotu? Spróbujmy wcielić się w tego człowieka, który już przedtem, na Przełęczy Koprowej, przeszedł męki, nie mogąc się ruszyć z miejsca. Teraz stoi na krawędzi czeluści i musi postawić w nią pierwszy krok. Musi, bo inaczej zostanie na przełęczy.

Że nisko, że mało stromo? Że lepiej zacytować relację np. z biwaku na 8 tys. metrów? Ależ dla pionierskich wędrowców w czasach Witkiewicza tam było stromo. Wystarczy spojrzeć raz jeszcze na dobrze znane rysunki Witkiewicza z tego zejścia. I pamiętajmy, że dla różnych ludzi 8 tys. metrów leży na różnej wysokości. I nie tylko w górach. Jakże trafnie w eseju *Ekstremalność* („Tatry”, nr 3/2013) Kuba Szpilka mówi o „skrajnych warunkach wywołanych przez załamanie pogody, nagły atak choroby, inne przypadłości przychodzące z zewnątrz, gwałtownie odmieniające scenę, na której działamy [...]”. Śnieżna zadyma czy jakże tatrzańska rzeka wody z nieba w towarzystwie piorunów potrafią zmienić znany szlak, łatwe zbrocze w arenę walki o życie...”. Pisz o doświadczeniu tych, którym w Tatrach niespodziewanie „przyszło mierzyć się z buntem własnego ciała, z napadem strachu, z żarem, zimnem, wiatrem, śnieżycą czy ulewą. To sytuacje wymagające najwyższego wysiłku, obudzenia w sobie nieoczywistych energii i zdolności, opanowania i determinacji. Samo miejsce, jego obiektywna trudność małe mają w tym przypadku znaczenie, podobnie jak to, że ktoś inny w tej samej chwili, w tych samych warunkach przebiegnie i nie dostrzeże trudności. To tylko nasze, najbardziej osobiste, ekstremalne przeżycie. My mierzymy się własnymi miarami, wędrując po krawędzi”.

Każdy (a może nie każdy?) zna taką sytuację z własnego życia, kiedy świat jest przepaścią, życie jest przepaścią. Kiedy „wypłynął za daleko” albo nigdzie nie wypływał, a w mgnieniu oka porwała go fala tsunami. Co jest tą przepaścią, skrajnym doświadczeniem? Czy coś, po czym już nic nie jest takie samo? Coś, czego przetrwanie wymaga skrajnego wysiłku? Na to nie ma obiektywnej miary. Są wyzwania bardziej oczywiste,

jak wojna, głód, kalectwo, utrata najbliższych, i mniej czytelne dla patrzących z zewnątrz, jak choroba psychiczna, czyli utrata siebie, depresja, paniczny lęk. Jak porównać walkę, którą stoczył Joe Simpson, czołgając się przez kilka dni przez andyjski lodowiec ze złamaną nogą, bez jedzenia i picia, i właściwie bez nadziei, walkę którą jednak wygrał o włos, z tym, co przeżyła pewna kobieta, która w kilka miesięcy po urodzeniu niepełnosprawnej córeczki zniknęła, zostawiając samochód na moście? Ta pani przedtem przez lata pracowała z niepełnosprawnymi i wszystko wiedziała, i widać to nie pomogło jej przebrnąć przez tę przełęcz. Czy trudniej przeżyć grozę bliskiej śmierci, czy życia, gdy się nie chce żyć, a musi? Jak porównać te doświadczenia? Tak naprawdę każdy może chyba porównać tylko własne, bo to on czuje, ile każde ważyło. Kiedy powiem, że spadałam z lawiną, i to było skrajne doświadczenie, bo od jakiegoś momentu byłam pewna, że to już, to łatwo to sobie komuś wyobrazić. Ale tu wszystko zależało od lawiny. Jako trudniejsze widzę doświadczenie, kiedy się ma impuls, pokusę, żeby się obrazić na życie, wypisać, skulić się, zamknąć oczy i pozostać na zawsze na tym dniu albo gorzej, albo wręcz skoczyć w przepaść, byle szybko, a jednak toczy się ze sobą walkę, żeby odwrócić się twarzą do przepaści i zacząć krok po kroku schodzić – ku życiu, ku światu. I tak jak nie ma obiektywnej miary, co to jest przerażająca przepaść, tak nie istnieje w Sèvres wzorzec wysiłku, jakiego wymaga ten pierwszy krok, czasem przeżycie dnia czy godziny. Jaka jest recepta; czy jest jakaś? Osobie z lękiem wysokości słusznie radzą, żeby nie patrzyła dalej niż pod nogi. Kiedy myślisz: „ja tego nie przeżyję”, czy warto, czy da się zapytać siebie: „a przeżyjesz jeden dzień?”. Niektórzy potrafią zdobyć się na szybką pełną konfrontację z odmianą losu. Mój mąż (Stanisław Krajewski) opisał to jako dźwignięcie pociągu i przestawienie go na inny tor ogromnym, jednorazowym wysiłkiem fizycznym i psychicznym. Dokonał tego w holu szpitala położniczego, gdy dowiedział się, że nasz synek ma zespół Downa. Czy do tego przełomu, podjęcia wyzwania potrzebna jest nadzieja? Jeśli tak, to nieoparta na uludzie,

że przepaści nie ma. Może nadzieja, że każdy krok przybliży do bezpiecznego schronienia i że to schronienie w ogóle istnieje.

Tora opowiada nam o kluczowym momencie, w którym Żydzi uchodzący z niewoli egipskiej za plecami mają pościg wojsk egipskich, a przed sobą morze. Mojżesz podnosi łaskę, wody się rozstępują i następuje cudowne ocalenie. A midrasz (przypowieść, komentarz do słów Tory) mówi o niejaki Nachszonie, który pierwszy wszedł w wodę. Wody rozstały się wtedy, gdy sięgały mu po szyję. Może dlatego się rozstały, że wszedł w morze? Może musiały sięgnąć aż po szyję?

W opowieściach osób, które doświadczyły naglej skrajnie trudnej sytuacji, wiele jest metafor, które przywołują żywioły, a nawet doświadczenia ze świata gór. „Byłam jak skamieniała”, „wydawało nam się, że jesteśmy w przepaści bez dna”, „ziemia usunęła mi się spod nóg”, „widziałam przed sobą czarną otchłań”, „jakby w nas grom trafił” – to reakcje rodziców na wyrok, na słowa lekarza, że ich dziecko ma przed sobą zupełnie inne życie. Wobec ich bólu i przerażenia świadkowie są bezradni, tak jak w sytuacji, kiedy stoimy obok osoby sparaliżowanej lękiem wysokości.

Pułapka i walka, pułapka i ucieczka... W książce *Pytania, których się nie zadaje* Konrad Oprządek pyta fotografkę: „Potrafiłaby pani sprzedać zdjęcie człowieka z zespołem Downa?”. Ona: „Chyba tylko jego matce. Nikt inny nie powiesi sobie takiej foty na ścianie. To rodzaj realu, przed którym się ucieka. A kochająca matka już nie wie dokąd. Ja nie mam żadnych zdjęć dziecka, które urodziłam”. Ta kobieta oddała swoje dziecko z zespołem Downa po urodzeniu; to była jedna z niewielu takich matek, które zgodziły się rozmawiać z autorami książki.

Chciałam przyjrzeć się przepaści niewybranej, ekstremalnemu przeżyciu nieekstremalisty. Ale gdzie przebiega granica? Czy nie wystawia się na nią turysta, a wystawia wspinacz? A może wspinacz solista? Bez asekuracji? Czy himalaista zimowy? A może – na drugim biegunie – uznamy, że wyborem zagrożenia jest już samo życie? W jednym ze swych świetnych esejów dla kwartalnika „Tatry” (nr 4/2013), zatytułowanych nie bez powodu *Pocztówka znad krawędzi*, Izabela Gronowska-Babicz cytuje Michała P. Markowskiego: „Egzystencja jest ekspozycja: wystawieniem się na nieobliczalne życie”. I dodaje to, co dla niej jest trudne: „Umiejętność czekania to wyzwanie z najwyższej półki. [...] Czekanie, mój mistrz i nauczyciel”. Przywołuję to, bo podczas gdy w sportach ekstremalnych sytuacja postawiona jest na ostrzu noża (często na ostrzu grani) – wóz albo przewóz, maksymalna koncentracja energii i rozprężenie – to w życiu los często rozkłada marsz po krawędzi na raty, a nawet dawkuje go przez całe życie. Potocznie uważa się, że mężczyźni lepiej znoszą tę pierwszą sytuację szybkiej walki, a kobiety tę drugą – bo przecież to też walka. Terapeutka niepełnospraw-

nych dzieci krzepiła mnie słowami: „Pani to ma dobrze, bo najczęściej to chłop odchodzi”. Prawie żaden ojciec nie chce o tym rozmawiać. Ten, który chciał, mówi autorom książki *Lista obecności*: „To jest krew z mojej krwi. Ja się z tym nigdy nie pogodzę, w ogóle nie mogę się z tym pogodzić! Nie było żadnych powodów, żeby się taki urodził”.

Bohater opowieści Michała Jagiełły (*Za granicą grań, Trójkątna Turnia, Jawnie i skrycie*) to człowiek, który na zakręcie życiowym, w życiowej pułapce ucieka w góry, w „swoje” miejsca. Tu pułapka staje się fizyczna, namacalna. Szamotanie się z życiem zamienia się w walkę o życie. Czy ktoś, kto miał ekstremalne przeżycie w górach, staje się innym człowiekiem? Jeśli tak, to czy to moment, czy proces? Czy przekłada się to na odporność na skrajnie trudne sytuacje, na które się nie wystawiał świadomie, a które przyniósł los?

Ja przeżycie skrajne postrzegam jako bramę. A może jest tak, że kiedy się już przejdzie tę drogę i obejrzy wstecz, widać nie przepaść, ale bramę, którą przekroczyliśmy.

W tradycji żydowskiej Brama jest bardzo mocno obecna. Midrasze i komentarze rabiniczne mówią o bramach niebios, bramach łaski, bramach skruchy, czyli powrotu czy nawrócenia, bramach modlitwy, bramach poznania Tory, bramach dobroczynności osiągalnych dla tych, którzy świadczą bliżnim dobro, a także bramach pomocy i pociechy dla tych, którzy pokładają w Bogu ufność i wiarę. Według kabalistycznej księgi Zohar (Księga Blasku) „pięć łask zbawiennych to pięć bram, którymi wysłuchana modlitwa wznosi się do nieba i którymi schodzi zbawienie dla Izraela” (cyt. za Andrzejem Trzcińskim). W wielu kontekstach przywoływane są wersety: „Otwórzcie mi bramy sprawiedliwości, a wejdę w nie i złożę dzięki Panu! Oto jest brama Pana, którą wejdą sprawiedliwi” (Ps. 118); ten ostatni wers bywa umieszczany nad wejściem i do synagogi, i na cmentarz. W dramatycznym momencie, momencie objawienia, biblijny Jakub mówi: „O, jak pełne grozy jest to miejsce! Nic tu innego, tylko dom Boży i brama do nieba”. Właściwie cała Księga Hioba to opis przejścia przez bramę. W bramach zasiadał sąd starszyzny, decydowały się ludzkie losy. Najsilniejsze poczucie wejścia w bramę jest w dzień Jom Kipur, Dzień Odkupienia, Pojednania, kiedy po dobie postu i rozliczeń ze swego życia człowiek czeka, aż otworzą się bramy niebios, a Pan przesiądzie się z tronu sądu na tron miłosierdzia. Jest to więc brama między tu a niebem, między człowiekiem a Bogiem, ale zarazem bliska, obrazująca ludzkie doświadczenie. W malowidłach na ścianach drewnianych synagog widniał werset z Talmudu: „Gdy wszystkie bramy są zamknięte, brama łez jest jeszcze otwarta” (TB Berachot 32 b, TB Bawa Mecija 59b). A jak i łzy nie starczą, to krzyk, wołanie... Król Dawid krzyczy o swoim cierpieniu, woła do Boga „z głębokości” i błaga: „Niech nie zaleją mnie fale,

niech nie pochłonie mnie głębina/ I czeluść niech nie zawrze nade mną swojej paszczy!” (Ps. 69). I zwraca się do Najwyższego z nadzieją: „Ty, który mnie podnosisz z bram śmierci...” (Ps. 9).

W kulturze europejskiej funkcjonują pojęcia: bramy raju, bramy piekieł. W tradycji żydowskiej bramy piekieł nie są tak mocno obecne; jest Szeol, niedookreślona otchłań, raczej niebyt, kraina w której nie ma życia, nie ma Boga, aż do czasu przyjścia Mesjasza. Ale wyjście z Rajskiego Ogrodu to właśnie przejście przez bramę. Bramy Raju się zatrzęsły, strzegą ich cherubini z płonącymi mieczami, kobieta i mężczyzna są bezapelacyjne skazani na trud i odpowiedzialność. Czy nie tak właśnie doświadczamy straty? W piosence Jacka Kaczmarskiego *Wygnanie z Raju* mężczyzna i kobieta cierpią osobno, są przeciwko sobie, by w końcu się połączyć. Ich dialog: „Utraciłam Raj/– do końca nie zapomnę ci tej winy /– utraciłam raj /– będziesz cierpieła razem ze mną, licząc dni /– utraciłam Raj /– i będę łzył cię, będę krzywdził bez przyczyny” kończy się słowami: „Pomóż mi przejść przez strumień, rękę daj/– utraciliśmy raj...”

Brama to i granica, i otwarcie. Jak mówi Anna Kamieńska: „Granica między życiem a śmiercią przebiega przez środek ludzkiego serca”. Co czuje człowiek, gdy

przejdzie przez wspomnianą „bramę łez”? Może ulgę, może nawet dumę, że walczył o każdy dzień. Widzi to, że wokół byli sprzymierzeńcy, których z dna cierpienia nie dostrzegał. Ale gdyby ktoś pytał, czy to prawda, że to, co nas nie zabije, to nas wzmocni, odpowiem: nie wiem. I nie wierzę, że istnieje jedyna odpowiedź. Bo każdą bramę trzeba przechodzić od nowa.

Wróćmy do Witkiewicza, do tego, co rozegrało się na przełęczy. Sparaliżowany strachem turysta, oskarżający przed chwilą przewodnika, ruszył jednak w drogę, już chwali górala, podziwia własną odwagę – dodam: ma do tego prawo – i dowcipkuje, doznaje największej nagrody po panice – uczucia ulgi. „Gzemsik, po którym idziemy, zdaje nam się nagle szeroką drogą lub wielkim chodnikiem asfaltowym – a jest tak wąski w tej chwili, że z trudem dwie nogi obok siebie by się na nim zmieściły. Zaczyna się rozmowa, zapalanie papierosów. Nie ma przepaści! Nie ma niebezpieczeństwa! Wszystko jest tylko w człowieku, nic poza nim!”.

Wiem: nie wszystko kończy się jak w powieści. Nawet nie każda wycieczka na opisaną w niej przełęcz. I nie ma recept na skrajnie trudny los. Można tylko „otworzyć bramę nadziei”, czyli liczyć, że przepaść z każdym krokiem zacznie zamieniać się w bramę.



Fot. Jarek Możdżyński, Galeria Władysława Hasióra, filia Muzeum Tatrzańskiego, Zakopane.